

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25. Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranica: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Dunajewskiego Nr 1. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i ogłoszenia zwykłe kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Kronika towarzyska, Nekrologi i Nadesłane kop. 75 za wiersz nonparelowy. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb. wewnątrz 6 rb. Artykuły reklamowe z fotografiami 1 strona rb. 175. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda Nr 1.
Telefony: Redakcji 73-12. Redaktora 68-75. Administracji 73-22 i 80-75.
Drukarni 7-36. FILIA w ŁODZI, ulica Piotrkowska Nr 81. Za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

ŚWIAT

Rok X. № 6 z dnia 6 lutego 1915 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Warszawa, ulica Zgoda Nr 1.
Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Francuskie Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ulgi na wypadek niezdy. do pracy
Filja dla Król. Pol. Marszałk. 136.

8857 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

St. Krzywoszewski „ROZSTAJE”

KOMEDYA W 3-ach AKTACH.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

NIEMCY I AUSTRYA.

„Wolę być raczej ostatnim księciem niemieckim, niż pierwszym słowiańskim”, oświadczył Francisek Józef. Pragnienie utrzymania niemieckiego żagla na maszcie monarchii tworzyło wodny szlak nawy habsburskiej po Sadowie. Rozgromionej Austrii nie wziął Bismarck ani piędzi ziemi, wyparł tylko starych jej dynastów z przewodnictwa w Rzeszy, moszcząc zarazem drogę dla przyszłego pojednania Wiednia z Berlinem. Spełnił w ten sposób przykazanie Fryderyka II, który pierwszy poderwał mocarstwo we podstawy naddunajskich władców, wydzierając im Śląsk i budując rusztowanie dla hegemonii pruskiej w postaci „Fuerstenbundu”. Mimo widocznego niebezpieczeństwa nie umieli austriacy poderwać stanu zbroczyć od kursu utartych tradycji i uwzględnić w coraz szerszej mierze rozbudzającego się ducha narodowościowych składników. Stąd czternaście milionów przedlitawskich Niemców miało przewagę, u przywilejowane stanowisko. Z czasem topniały ich wpływy i przemożność, zwięzane obręczą słowiańską, ale do ostatnich chwil zachowali pewien rodzaj primogenitury, wyłączność kasty silniej uprawnionej. Zamotała się istna tragedia sprzeczności. Starano się wprowadzić żądania słowian przez wprowadzenie rozległego samorządu, wpuszczono jednak w koła swobód zęby niemieckich zatorów, o które lekko zahaczała się *carta libertatum* poszczególnych krajów koronnych. Jedynie ustrój federacyjny, oddzielający sumiennie sferę plemiennych interesów, mógł zło zleczyć i przenieść wyładowywanie się ener-

gii z dziedziny męczących sporów narodowościowych na pole twórczej pracy ekonomicznej. Tu jednak rozstrzygające czynniki trwały na szafcu obrony dotychczasowego porządku rzeczy dla podtrzymania niemieckich posterunków i pozorów spójni państwowej. Wleczono zatem życie z dnia na dzień podług systemu „dojutrzowskiego” hr. Taaffe, bez odleglejszej myśli i zamierzenia. Po dawnemu kłócili się czesi z Niemcami, rusini z Polakami, po dawnemu wywlekali bolączki włosi, słowacy, chorwaci. Latano jako-tako wzajemne uroszczenia, rzucano magiczne słowo „ugoda”—i znowu czekali...

W polityce zagranicznej patrzano na Berlin. Podobne zapatwienie się oddziaływało poważnie na układ i wewnętrzną politykę, chwilami w sposób zbyt jaskrawy. Sojusz z Hohenzollernami postawił większość ludów austriackich w potężnej sprzeczności do prądów, przepływających u góry, i wytworzył, szczególnie dla nas, Polaków, położenie chwilami bolesne i zawstydzające. Intrygi pruskie położyły odcisk na domowych sprawach Galicji, zaplątawszy w sidła ukraińców, jako sprzymierzeńców przeciw polskim żywiołom.

Podporządkowanie się przeważającym tendencjom niemieckim musiało pogłębić różnice, a raczej pewne łagodniejsze kontrasty między Wiedniem a Piotrogradem. Kontrasty te zarysowały się widoczniej już w czasie wojny krymskiej. Oburzony chwiejnym stanowiskiem Austrii, kazał Mikołaj I wynieść z gabinetu swego biust cesarza Franciszka Józefa, z charakterystyczną uwagą: „Dwóch było niemądrych królów

Polski: ja, idąc na Węgry, a Sobieski, maszerując pod Wiedeń”. Odtąd pogrzebano łączność „świętego przymierza” i zjazdu w Muenchengraetz, zupełnie stanowego. Jeszcze Agenor Gołuchowski umiał utrzymać jezyceczkę wagi i zachować miarę dobrego pojęcia z Rosją; natomiast dwaj jego następcy, czeski Niemiec Aerenthal i pół-krwi Niemiec, pół-krwi Węgier, Berchtold, rozpoczęli pod wpływem pruskim urzędującym ideał parcia ku półwyspowi Chalcydowskiemu, sprowadzając katastrofy ostatnich lat trzech na Bałkanach. Austria znalazła się bezlitośnie w ramionach Niemców, odosobnionych, dzięki manewrom Edwarda VII, i musiała z nimi dzielić wszelkie następstwa osamotnienia.

Dopiero obecna wojna odsłoniła bezmiar tej zależności. Coraz częściej słyszy się w urzędowych oświadczeniach i wywiadach wybitnych osobistości dwuprzymierza zapewnienia o „braterstwie broni”, o walczeniu „ramię w ramię”, jakby zaprzeczenie pogłosek, dotyczących psucia się harmonii. A jednak coś dzieje się w państwie... duńskim, dzięki zachłanności prusactwa, którego duch zaborczy nie stępniał nawet w powodzi ciężkich przeżyć. W słowach Rymwida tkwi psychologia dziwnego narodu: „Przebrzydły zakon, podobny do smoka: jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro i ten ucięty rośnie w dziecięcioro!” Niemcy widzieli oddawna w Królestwie swój *Hinterland*, świetny rynek zbytu i punkt oparcia przeciw Wschodowi. Humorystyczne pismo berlińskie „Ulk” podało na frontowej stronie rysunek krzyżaka, z tarczą w lewicy, z mieczem w prawicy, z objaśnieniem: „Die Wacht an der Weichsel”. Chce im się gwałtem średniego biegu Wisły, aby w połączeniu z górnym, austriackim, mieli w dłoniach przewyborną drogę splawną. Ale, zachowaj Boże! dopuszczenia do stołu biesiadnego przyjaciół rakuskich! Na to zgodzić się niepodobna. I dlatego po bitwach pod Kraśnikiem i Zamościem opuścili prusacy austriaków, zostawiając ich luzem wobec rosyjskiego huraganu. Rozpoczęły się zakulisowe

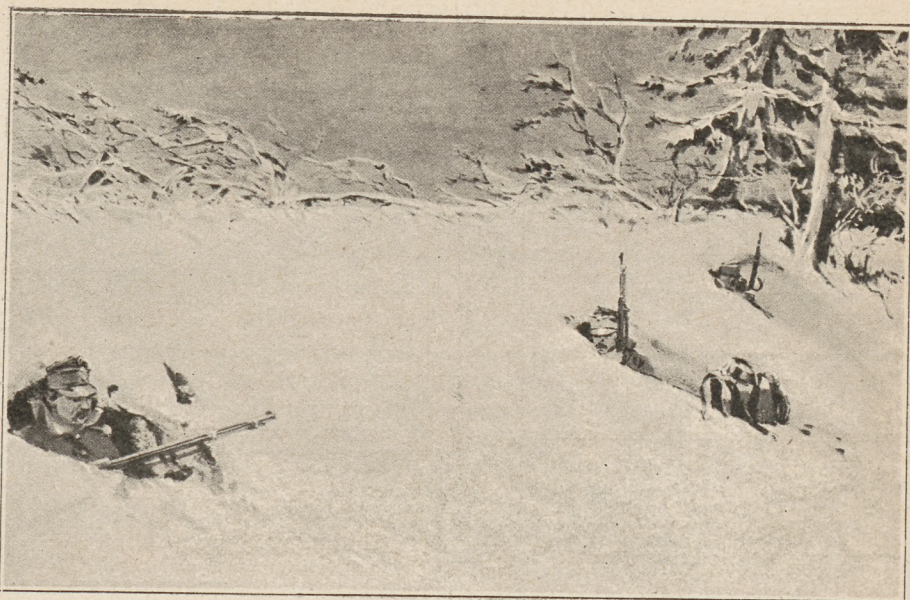
swary, — zgłuszone grzmiotem wojennym i luną pól bitewnych. Szef austro-węgierskiego sztabu nie mógł przebaczyć intryganckiego pociągnięcia na szachownicy swemu niemieckiemu koledze, Moltkemu, skutkiem którego trzy - czwarte Galicji wpadło w zwycięskie dłonie rosyjskie, i obadwaj ciągnęli supełki o utrzymanie się przy władzy. Widmo sporu sprzymierzeńców, kroczących „ramię w ramię“, musiało być groźne, skoro w Berlinie ustąpiono br. Conradowi i poświęcono Moltkego pod pozorem cierpienia fizycznego... Po rzekomym wyzdrowieniu wrócił Moltke na stanowisko, ale tylko zastępcy szefa sztabu... Formalnie dano Austrii zadośćuczynienie, w rzeczywistości nic nie zmieniło się...

I po stronie austriackiej znaleźniono kozły ofiarne, przeprowadzono proces oczyszczający. Generała kawalerii, Brudermanna, inspektora jazdy, wpakowano do domu obłąkanych w Steinhof pod Wiedniem, aby uniknął sądu wojennego za niezbyt tęgie czyny pod Lwowem. Obasypany pochwałami cesarskimi, naczelną wódz serbskiej wyprawy, Potiorek, poszedł w stan zasłużony. Towarzyszył mu dzielny „zdobywca Belgradu“, Liborius von Frank, i dwaj polacy, feldmarszałek Artur Przyborowski i brygadier Cyrus Sobolewski z Sobolewa. Lista potępionych pomnożyła się bardzo! Zestrojono dla pozorów rozdźwięki i zgrzyty alianckie, — ale na dnie zakrytych przed oczami ludzkości tajemnic zostało uczucie, — że Niemcy chcą austriaków trzymać najdalej od Królestwa... Przecież śpiewają już arcybanalną obozową pieśń o Hindenburgu, oczywiście, z przerebobieniem polskich miast na swój żargon, jak Włocławka na „Włozław“.

„O! Hindenburg! O! Hindenburg,
wie schoen sind deine Siege!
Du machst nich nur in Preussenland,
nein, auch in Polen dich bekannt“.

A równocześnie z przypatrywaniem się kwaśnym winogronom w Królestwie, rozpraszają marzenia o zmianie kursu w Poznańskiem. Niechże świstki Morgenów, tragiczno-humorystyczne litografie Panny Częstochowskiej w otoczeniu głów Leona XIII i Wilhelma II nie wzbudzą trwalszej nadziei! Ow osławiony „Burgfrieden“, zawieszenie walki stronnictw, potępięńczył podjazdów przeciw polakom, duńczykom i alzeczykom, — ma przecież sens przejściowy!... — Więc już obecnie ogłasza „Ostmarkverein“ nie słychanie cyniczny i pełen sofistery komentarz. Zaprzeczając pogłoskom o zamiarze zwinięcia drapieżnej instytucji, wywodzi, że związek powstał nie „celem zwalczania polskości, lecz popierania niemieckości“. Polskości, jako takiej, nigdy i nigdzie też nie zwalczał, występował zaś jedynie przeciw niej, o ile nieprzyjaźnie odnosiła się do naszych

Na zachodnim terenie walk.



Żołnierze francuscy w okopach zasypanych śniegiem.



Okopy angielskie, urządzone są z możliwym komfortem. Oficerowie posiadają oddzielne kamery.

współziomków. Nie istnieje w rzeczywistości żaden powód zamknięcia działalności Ostmarkenvereinu, szczególnie wobec faktu, że ani jedna z licznych instytucji, mających na oku wyłącznie polskie interesy, nie wstrzymała i nie ograniczyła po wybuchu wojny zakresu swych czynności. Na podstawie paragrafu 31 ustawy, polega główne zadanie związku na gospodarczym wzmocnieniu niemieckości na kresach polskich i ono też wymagać będzie, po ustaleniu krwawego przesilenia bieżącej chwili, „użycia nakładu znacznych środków jeszcze przez lat dziesiątki, jakkolwiekby ułożyły się sprawy na wschodzie państwa po zawarciu pokoju“... Tak wygląda „Burgfrieden“ w zastosowaniu do polaków! Gaszą wszelkie oczekiwania już w czasie szczęku oręża, zapowiadają wyrzucenie nowych milionów

marek dla wykupu ziemi w Poznańskiem i chcieliby ten sam los zgutować Królestwu. A i ci biedni Niemcy, którzy wracają do tradycji Rueckerta, Mosera, Koenera i wzdychają do snów szczerze liberalnych, musieli otrzeźwieć po oświadczeniach konserwatystów o konieczności zaprowadzenia rządów „silnej dłoni“, rządu pikielhauby i generalskich szlifów... Niema co! Chcą połknąć wszystkich i wszystko, chcą zjeść za siebie i za austriackich sprzymierzeńców, chcą strawić nawet swoich, bo nie znają nasycenia...

Kopenhaga.

E. L.



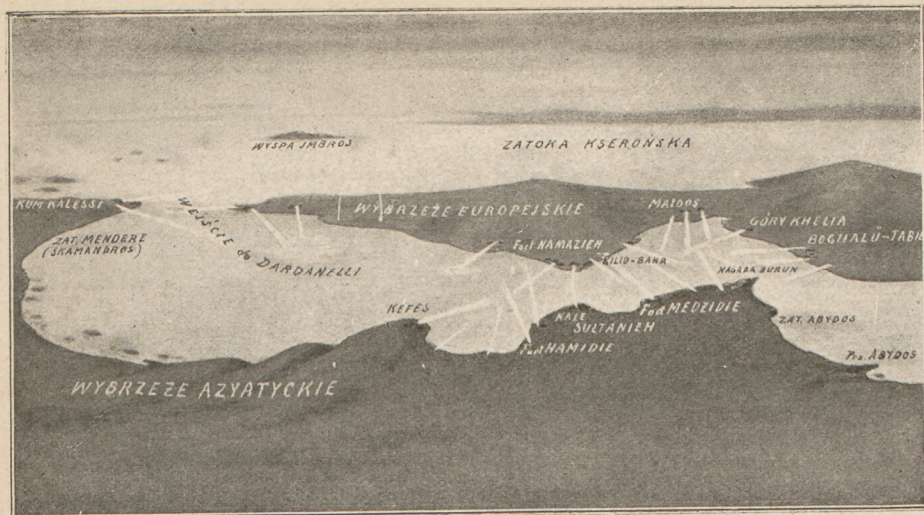
Na terenie wojny.



Kobiety wiejskie biorą w niewolę lotników niemieckich z zestrzelonego aeroplanu.



Podjazd.



U wrót cieśniny Dardanelskiej.

Czy możliwe jest sforsowanie cieśniny Dardanelskiej i dotarcie tą drogą do stolicy państwa tureckiego?

Nasuwa się takie pytanie coraz częściej czytelnikom pism, gdy w telegramach napotyka wiadomości o energicznym ostrzeliwaniu fortyfikacji Dardanelskich przez połączoną flotę angielsko-francuską i o zniszczeniu, szerzonym pociskami wśród nadbrzeżnych baterii tureckich.

Aby wyczerpująco odpowiedzieć na pytanie i należycie ocenić opinie, wyrażane przez powagi w dziedzinie strategii, trzeba przede wszystkim uprzytomnić sobie dokładnie przyrodzoną budowę cieśniny, uważanej ogólnie za niezdo-bytą, oraz sztuczne środki, zastosowane do jej obrony.

Długość cieśniny Dardanelskiej, wiążącej się poszarpaną i pociętą, węzową linią od południa ku północnemu wschodowi, wynosi około 65 klm.; szerokość w różnych punktach bywa bardzo rozmaita, od 1,350 mtr. dochodzi do 7 zgórą kilometrów. W punktach największego zężenia bronią cieśniny t. zw. „zamki wewnętrzne”: Kilid-Bahr i Kale Sultanieh. Wchód cieśniny zamykają dwie warownie: Sed-el-Bahr na brzegu europejskim i Kum Kalessi na azyatyckim. Wzdłuż wybrzeży cieśniny wznosi się szereg innych mniejszych i większych fortec oraz ufortyfikowanych baterii, budowanych w r. 1830 i następnych, a w okresie lat 1864—1881 dostosowanych do nowoczesnych wymagań sztuki wojennej. W latach ostatnich przeprowadzono znowu szereg ulepszeń i powiększono znacznie ilość baterii. Nagara-Burun jest krańcowym punktem głównej linii obronnej; dalsze wybrzeże jest już nieporównanie słabiej obwarowane.

Tak przedstawia się w zarysie lądowa obrona Dardaneli. Większą jednak jeszcze wagę przykładają Turcy do obrony podwodnej, do zagród minowych i zatopionych przeszkód. W czasie wojny grecko-tureckiej założono tu trzy łańcuchy min. Obecnie liczbę łańcuchów podwojono, a miny rozmieszczono znacznie bliżej siebie; prócz tego, u wejścia i wyjścia cieśniny zatopiono sporo obciążonych statków.

Uzbrojona i ubezpieczona w ten sposób cieśnina mogłaby słusznie uchodzić za niezdo-bytą, gdyby z rozwojem techniki obrony nie szedł w parze również rozwój techniki ataku. Dawniejsze środki wojenne nie potrafiłyby zapewne sprostać trudnościom, spiętrzoną przez

obronę; nowoczesne mogą się pokusić o sforsowanie Dardaneli z pewnymi widokami powodzenia. Działą floty wojennej posiadły rozleglejszy zakres działania i większą precyzję, z pomocą spieszniejszą im akcja hydroplanów, korygujących celność strzałów, oraz łodzie podwodne, atakujące przeciwnika z najsłabszej jego strony.

Połączona flota angielsko-francuska wprowadza kolejno w grę wszystkie te środki walki. Ciężkie działa okrętowe biją z pełnego morza niby taranem w mury fortyfikacji, burzają i demontują baterie tureckie. Raz po raz wzbija się wysoko pod niebo hydroplan, by skontrolować skuteczność strzałów i wyszukać nowe dla nich cele, niewidzialne z obserwatorium okrętowego. Atak nie ma bynajmniej na celu dywersyjny, lecz dąży wprost do sforsowania drogi przez cieśninę, czego dowodzi już choćby ta okoliczność, że główny sztab admirała de Lapeyrrera przeniósł się niedawno z wyspy Tenedos na statek flagowy „Waldeck-Rousseau”. I w rezultacie bombardowanie sprzymierzonej eskadry wyrządza podobno w fortyfikacjach dardanelskich bardzo wielkie spustoszenia.

Czy jednak, nawet w najpomyślniejszym wypadku, nie przeszkodzą jeszcze sojusznikom w drodze do celu podwodne środki obronne? Czyż nie będą czyhać na każdym kroku zdradzieckie miny?

Tu znowu otwiera się pole działania dla flotylli łodzi podwodnych. Początkiem akcji była bohaterka wyprawy w głąb cieśniny angielskiego marynarza Holbroocka, który w grudniu dotarł aż do Nagary, ugodził torpedą statek „Messudie”, wzbudził panikę wśród eskadry tureckiej i — co najważniejsze — wyba-dał dość dokładnie położenie min. Dzie-więć godzin trwała podwodna wędrówka łodzi „W. 11”, odbywająca się w głębokości ośmiu metrów pod powierzchnią morza, wędrówka niesłychanie niebezpieczna, bo pośród groźących zagładą min, których rozmieszczenie nie było jeszcze znane śmiałoemu żeglarzowi. I tak niespodziewane dla floty tureckiej było to pojawienie się wroga w rejonie, uważanym za najzupełniej bezpieczny, dowodzi już ten fakt, że torpedowce i inne lżejsze statki rzuciły się w panice do ucieczki, zamiast ścigać przeciwnika, lub ratować załogę tonącego „Messudie”.

Wyprawa Holbroocka była niejako podwodnym rekonesansem. Obecnie szereg innych statków podwodnych zajął się, wedle uzyskanych wskazówek, wy-

ławianiem min i oczyszczaniem morza z groźącego niebezpieczeństwa. Jeden łańcuch po drugim zostaje kolejno zrywany i usuwany. Ponieważ zaś podwodną pracę ochrania nadwodne bombardowanie, więc kierownicy niemieccy tureckiej obrony nie mogą nawet marzyć o rozmieszczeniu min nowych.

Czy zatem możliwe jest sforsowanie cieśniny dardanelskiej?

Zdania powag wojskowych są podzielone. Głównodowodzący eskadrą grecką, admirał Cairr, uważa je za niemożliwe, dowodząc, że w każdym razie nawet osłabione baterie tureckie nie przepuszczą sprzymierzonej floty do Nagary, skąd już dalsza droga do Konstantynopola nie nastęczałaby tak wielkich niebezpieczeństw. — Przeciwnie, admirał Dusmanin, jeden z bohaterów wojny grecko-tureckiej, twierdzi, że wzięcie otwartym bojem Dardanelów jest możliwe, aczkolwiek musiałoby kosztować bardzo wiele ofiar. Wszystko zależy od zdolności oporu fortec w chwili ataku i od sprawności artylerzystów tureckich.

Bądź co bądź, losy Konstantynopola nie są tak pewne, jak przypuszczała Turcja, porywając się do wojny z połową Europy. I może niedaleka już przyszłość da pozytywną odpowiedź na pytanie: czy sforsowanie cieśniny Dardanelskiej przy zastosowaniu nowożytnych sposobów walki jest możliwe.

St. I.

Na terenie walk w Królestwie.

Grzebanie ciał.

Wracaliśmy z pobojuwiska. Do-koła nas ciągnęły się okopy, przecinały się transzeje i niemal na każdym kroku grodziły drogę ścierwa koni, zabitych pociskami artyleryjskimi. Od czasu do czasu widać było trupy żołnierskie, przyczajone w okopach i na karabinach oparte, jakby jeszcze gotowe do strzału i walki. Niedaleko od nas grzebano poległych — stamtąd wracaliśmy. Można było, obróciwszy się, zobaczyć zdaleka, że na małej wyniosłości, pomiędzy dwoma samotnymi drzewami, których konary spletały się ze sobą, piętrzył się stos trupów, ułożonych bezładnie. Z szarej gmatwaniny płaszczów wyzierały potraskane czerepy czaszek, obryz-ganych krwią z mózgiem pomieszaną. Pomiędzy nogami i rękoma, stęża-łemi w niemym bezruchu, wyglądały straszliwie zniekształcone obli-cza.

Gdzieniegdzie twarz ze skóry odarta odślaniała już straszliwy uśmiech kościotrupa, o wyszczerzonych zębach i zapadłych oczodołach — uśmiech, który zdawał się wypełzać powoli z tych ciał niepo-grzebanych, jako ukryte dotychczas jądro prawdy.

Człowiek, który umiera w otoczeniu rodziny, na wygodnym łóżku — człowiek, który miał czas zrobić testament i wypowiedzieć się — długo jeszcze nie zmienia się. Nie przeinacza nawet wtedy, kiedy na jego twarz martwą pada żółty blask gromnicy. Ułożony na katafalku, o-

toczony kwiatami i zielonością, ubrany starannie i umyty, z rękoma na piersi skrzyżowanymi, zdaje się spać spokojnie i cicho.

Ludzie, którzy go odwiedzają, powtarzają często:

— Któżby pomyślał, że on już nie żyje!

A kiedy już śmierci zaczyna krążyć coraz śmielej po jego czole, wiezie się go szybko na cmentarz i grzebie z okazyłością, aby nic nie utracił ze swojej zwykłej codzienności.

Któż to wie naprawdę, że pod jego postacią znajomą ukrywa się straszliwy uśmiech kościotrupa, — uśmiech, który jest większą tajemnicą od tajemnicy śmierci.

I oto ten uśmiech przerażający błakał się tam, jak widmo ponure, pomiędzy trupami.

Stamtąd wracaliśmy. W wielkich dołach, wykopanych przez ludzi z szarwarku, układano jednego zabitego obok drugiego — warstwami. Potem cały ten pokład ciał ludzkich przysypywano ziemią z wapnem pomieszaną i układano warstwę następną. Ze stosu trupów wędrował jeden po drugim. Czasami nieśli go ludzie na płaszczu, rozpostartym szeroko, czasami wlokły go po ziemi konie. I wtedy głowa, podskakująca na każdej nierówności gruntu, zdawała się ożywiać na chwilę i miotać w bezsilnej rozpacz.

Byliśmy już daleko od tego miejsca, ale wspomnienie tych straszliwych obrazów szło za nami, jak wierny pies.

Tak idąc, natknęliśmy się na jeszcze jednego zabitego.

Tuż obok plantu kolejowego, gdzie stał nasz pociąg sanitarny, leżał trup żołnierza niemieckiego, obrócony nawznak, z rękoma splecionymi na piersiach. W dłoniach, kurczowo zaciśniętych, trzymał jakiś przedmiot.

Tknięci dziwnym przeczuciem, zatrzymaliśmy się koło niego.

Wydawał nam się dziwnie spokojnym i cichym. Można było nawet pomyśleć, że to nie trup, że śpi sobie spokojnie tutaj jakiś człowiek, który przed chwilą rzetelnie pracował i teraz odpoczywa. Tylko mundur na piersiach krwią przepojony, tylko nogi, sterczące w białych onucach, już obdarte z butów, zdradzały śmierć i rabunek.

Na oczach jego leżały dwa płatki śniegu, dwie białe plamy, widoczne z daleka — jakby dwa dotknięcia dobrej dłoni, która na te oczy, może bezsenne, przerażeniem obłąkane, światła pragnące nie widzieć, położyła białą zasłonę.

I wydał nam się dziwnie smutnym ten żołnierz niemiecki, kiedyśmy stanęli tuż przy nim.

Pochyliłem się nad nim i zobaczyłem, że w dłoniach zaciśniętych trzymał starą, pożółkłą książkę do nabożeństwa, podartą i bez okładki.

Pochyliłem się nad nim jeszcze

Z terenu walk w Królestwie.



Fot. Saryusz Wolski.

Karabin maszynowy do ostrzeliwania aeroplanów.



Fot. Saryusz Wolski.

Ostrzeliwanie nieprzyjacielskiego aeroplanu.

bardziej i zobaczyłem pierwsze słowa modlitwy po polsku.

Przed nami leżał trup brata naszego. Zabity żołnierz niemiecki był polakiem. Oprócz książki do nabożeństwa nie było żadnego na to dowodu.

Napróżno szukaliśmy na jego

piersiach blaszkę z nazwiskiem, którą ma na sobie każdy żołnierz niemiecki. Tuż obok niego leżała tylko skórzana portmonetka, otwarta i pusta.

Był to polak bezimienny — może chłop poznański, może górnik śląski, może westfalski robotnik...

Staliśmy nad nim i myśleliśmy, skąd pochodzić może i gdzie jest jego rodzina, której nikt nie doniesie o smutnym zgonie ojca.

Dwie białe plamy śniegu wryły się nam w mózg, jak dwa stygmaty cierpienia — trudno się było oderwać od nich i teraz, kiedy myślę o tem wszystkim, widzę je znowu tak wyraźnie, jak wtedy...

Wkońcu towarzysze moi postanowili wykopać dla niego osobną mogiłę i pogrzebać go tuż obok planu kolejowego.

W naszym pociągu sanitarnym znalazły się dwie łopaty i oskard.

Trzech młodych, silnych towarzyszy naszych chwyciło za nie i na miejscu, wybranem na mogiłę, rozległo się pierwsze suche uderzenie oskarda o zmarznąłą ziemię. Praca szła opornie, podorywka ściśnięta mrozem, odpiera najcięższe nawet uderzenia łopaty — tylko oskard mógł jako tako pracować.

Zmienialiśmy się przy nim ciągle, i aniśmy się spostrzegli, że już nastał wieczór i księżyc rozsnuwa dokoła swoje zimne migotliwe światło.

Koło nas zamajaczyły jakieś niewyraźne sylwetki. Zatrzymało się kilku ludzi i jakaś mała wiejska dziewczyna.

Patrzyli chwilę na naszą robotę, wreszcie jeden z nich roześmiał się i zawołał urągliwie:

— Ciężko idzie paniczom!

— Niewprawniśmy, lepiej by poszło, żebyście nam pomogli.

— Cały dzień się naharowałem przy tych umarlakach, to się po nocy nie będę brał do roboty. A co państwu po tem?

— Widzicie, znaleźliśmy tu zabitego polaka, nie trzeba go tu przecie, jak psa, niepogrzebanego zostawić.

Ale ludzie wzruszyli ramionami i poszli do domu — został przy nas tylko jeden, jakiś chuderlawy wyrobnik o tępem spojrzeniu i wymizerowanej twarzy. Stał i patrzył na nas. Wreszcie powoli podszedł bliżej i nic nie mówiąc, zaczął pracować szybko, sprawnie, jak maszyna.

Zdawało się, że z tego chuderlaka żadna robota nie będzie miała pociechy, a oto musieliśmy patrzeć ze zdumieniem na jego ruchy błyskawiczne, mądre i celowe, na zgodność rytmu jego uderzeń i żelazną, automatyczną wytrwałość.

W krótkim przeciągu czasu dokonał trzy razy tyle, co my wszyscy dotychczas — niebawem przedarł się przez stwardniałą skorupę, odrzucił oskard i chwyciwszy za łopatę, zagłębił ją w sypkim mięzu ziemi.

Wtedy wszyscy rzuciliśmy się ze zdwojoną energią do pracy i niebawem dół był gotów.

Tymczasem wróciła z powrotem mała dziewczynka. Zdaleka już ktoś zauważył, że wlecze za sobą coś wielkiego, ciężkiego...

— Patrzcie, ona niesie krzyż.

Podeszła ku nam bliżej i upuściła na wał ziemi krzyż pięknie wyciosany z bierwion sosnowych.

— Skądże to wzięłaś? — zapytałem.

— Tata zrobił...

Ktoś wyciągnął z kieszeni pieńiędzy i podał jej srebrną, błyszczącą złotówkę.

Dziecko pokręciło niechętnie głową i szepnęło cicho:

— Nie trzeba.

A nasz chuderlawy pomocnik dodał tonem objaśnienia:

— Ona nie weźmie...

Kiedy już wszystko było gotowe, przynieśliśmy na własnym jego płaszczu trupa polskiego żołnierza. Ostrożnie opuściliśmy go na pasach w dół wykopany. Leżał tam nawznak i znowu obrócili się ku nam dwie białe plamy.

Wziąłem pierwszy łopatę i rzuciłem garść ziemi na piersi. Osunęła się z głuchym szelestem po płaszczu i mundurze.

Prędko urosła mogiła, a na niej stanął krzyż z prostym napisem, wyciętym scyzorykiem:

„Tu leży polak z zabóru pruskiego“.

Kiedy dzieło nasze zostało skończone, usłyszeliśmy turkot wozów, i jęki rannych i okrzyki wzywające nas do pracy.

Pobiegliśmy szybko, wołając:

— Żegnaj, bracie!

Obróciłem się potem raz jeszcze i w niepewnym blasku księżyca zobaczyłem mogiłę, a nad nią czołwieka o łopatę opartego i małą wiejską dziewczynkę...

Stanisław Dzikowski.

2 Co grać w teatrach w okresie wojennym?

Ankieta „Świata“

Więc — grać!

A teraz — co grać?

Tu przedewszystkiem przemówił w Kotarbińskim człowiek praktyczny, jakim winien być dyrektor:

— Bez trudu przyjdzie mi nakreślić dla teatru naszego „plan jego wojennej kampanii“. Ale nie mogę nie zaznaczyć przedewszystkiem, że wszystkie nasze teatry wogóle nie

posiadają w obecnej chwili dostatecznie bogatych środków, aby robić, co chcą, co powinny. Jeżeli teatr Rozmaitości i Teatr Polski dają obecnie codziennie przedstawienia, trzymające pewną miarę wymagań artystycznych, to już dokonały one rzeczy, wierz mi pan, dość trudnej, wymagającej energii i odwagi. Spełniły pierwsze swe zadanie: *primum vivere...*



Józef Kotarbiński.

Jeżeli przejdziemy teraz do — *deinde philosophare*:

— To policzmy się z tem, że pewne podniosłe sztuki, które szczególnie właściwie mogły być wystawione w obecnym czasie, wymagają kosztownej wystawy, a na takie wydatki teraz nie pora. Idzie głównie o to, aby przetrzymać ciężką epokę.

Dlatego stojąc na stanowisku realnem, nie doradzałbym wystawienia teraz paru rzeczy Szekspira, albo „Córki Rolanda“ Borniera, choć mi się to bardzo uśmiecha. Ani „Księcia Niezłomnego“ Calderona, wierszem

Józef Kotarbiński, krytyk i aktor, estetyk i dyrektor, profesor deklamacyi i reżyser, posiada prawdziwy nadmiar tytułów i praw do przemawiania w interesujących nas obecnie sprawach.

Z żywością wielką, którą doświadczenie teatralne i życiowe nie ostudziło, mówi, woła nam raczej:

— Czy grać podczas wojny?! Grać! Grać! Grać! Ależ to bardzo dobrze, że jest teatr! Bardzo dobrze!

Powiadamy mu:

— Jednak w Paryżu przez dłuższy czas innego byli zdania ci, od których to zależało. Tam teatry były zamknięte prawie aż do Bożego Narodzenia.

— To zupełnie co innego. Paryż jest jedyny i nie może służyć zawsze za przykład. Jestto wielkie ognisko międzynarodowej zabawy i rozrywki, które, w wielu razach, pozbyło się szczytnych ambicji artystycznych dla prostego robienia pieniędzy. Obecnie cudzoziemców w Paryżu niema, to jedno; ale drugie, ważniejsze dla Paryża i dla Francyi, to, że te przybytki rozpusty, noszące miano teatrów, bardzo źle i na francuzów oddziaływały, rozmiękczaając ich, do cynizmu nachylając ich dusze. Trudno było rządowi robić w tem wszystkim wybór, bo, naprzód, to nie jest jego rola, a potem, nie czas było na debaty nad wpływem teatru na publiczną moralność i francuskie męstwo. U nas sytuacja jest inna. Teatry nasze przeważnie poważne, które są głównymi miejscami rozrywki polskiej publiczności, poważnie zawsze na swe zadania spoglądały. Możemy przeto pozwolić im stać w szeregu naszych kulturalnych instytucji w momentach niebezpieczeństwa i wysiłku. Nawet, powiem, jesteśmy im to winni.

Słowackiego, choć mi to jest bardzo ponętne.

Kotarbiński przeto radby stworzyć *repertuar specjalny*.

Ale ten repertuar składałby się z arcydzieł. Tym winni jesteśmy pietyzm najwyższy. To nie obywa się w naszych materialnych czasach bez kosztów. A te właśnie są — nie na czasie. Jednakże możnaby sięgnąć po pewne arcydzieła skromniej zaopatrzoną ręką — mniema Kotarbiński.

— Więc coś z Fredry, coś z Moliera...

Co zaś obecnie, jak i zawsze, grać należy, grać się winno, grać jest obowiązkiem, to:

— Repertuar szlachetny, popularny, a przede wszystkim oryginalny.

Niestety! Nasze teatry nie mają repertuaru podstawowego, gra się nowość, dopóki publiczność na nią chodzi, a kiedy publiczność chodzi na nią przestaje, nowość uważa się za starzyznę i sięga się po inną, jak burzą bez tradycji, po nowy „garnitur” do salonu.

Westchnął na to Kotarbiński.

Zawtórował mu w tem i nasz „Świat”. Bynajmniej, nie przez grzeczność.

Ludwik Śliwiński, długoletni kierownik teatru „Nowości”, reżyser przez lat kilka teatru „Rozmaitości”, uważany jest, i słusznie, za wybornego znawcę tej kategorii publiczności warszawskiej, która chodzi do teatru przede wszystkim po rozrywkę.

Twierdzi i on, — jednobrzmiąco ze wszystkimi tymi, których zapytywaliśmy: ażali w czasie wojennym teatry powinny grywać?... że:

— Powinny grywać!

A na pytanie nasze drugie: co grywać teatry w tym okresie powinny, odpowiada jednym słowem:

— Wszystko!

Według Śliwińskiego, jednym z naszych zadań



Ludwik Śliwiński.

społecznych przejściowego okresu wojennego jest: osłabienie depresji.

— Teatr staje się w naturalny sposób instrumentem dobroczynnym takiego osłabienia, i aby tę rolę użyteczną spełnić, nie potrzebuje nawet czynić jakichś specjalnych po temu wysiłków. Wystarczy, aby spełniał swoje zadanie codzienne i powszednie, aby funkcjonował, jak zawsze, obowiązany do ciągłej staranności i odświeżania się. Posiada on żywe słowo, pieśń, taniec, jako swoje środki. Bogate to środki i tylko należy niemi operować umiejętnie, aby od-

dawać dziś masom publiczności poważne usługi.

Ludwik Śliwiński upatruje dalej w teatrze środek agitacyjny, nie jest jednakże zwolennikiem *repertuaru specjalnego*.

— Zdawałoby się, że, przeżywając ciężkie chwile wojny, zalterowane umysły widzów potrzebują wyłącznie tego, co w języku repertuaru teatralnego nazywamy lekką strawą.

Ale ta lekka strawa nie jednakowo na każdego działa. Są pewne umysły, do których nie ma ona jakby zupełnie przystępu. Te nie są w stanie wprost udzielić uwagi np. perypetjom farsy, choćby bardzo zabawnej, albo melodyjom operetki, choćby ich rytm stanowczo narzucał się sam uszom. Nie są to umysły z konieczności głębokie, albo wyjątkowo poważne, widziałem bowiem znakomitych uczonych i ludzi surowego społecznego czynu bawiących się poprostu i niefrasobliwie na farsie albo na operetce. Są to tylko umysły pod względem oddziaływania na czynniki teatralnej rozrywki nieco swoiste. Ale one to może bardziej, aniżeli inne kategorie teatralnej publiczności, przyczyniają się do utrzymywania repertuaru teatralnego pod znakiem różnorodności. Oddają w ten sposób kulturze niemałą usługę, stanowiąc przeciwwagę zbyt niemu rozwieleniu się repertuaru wyłącznie lekkiego. Nie każdy jednakowo się bawi. Nie każdy z tego samego źródła ugasić jest w stanie pragnienie rozrywki. Teatr wszystkie te gusty, czy też, głębiej biorąc, te temperamenty uwzględniać winien. I dlatego w jednych teatrach powinna panować niefrasobliwa wesołość, dźwięczna muzyczka, lotny tan, w innych podniosłe słowo i głębsze uczucie liryczne, obleczone w harmoniczne dźwięki.

A więc wnioskiem Ludwika Śliwińskiego jest:

— Repertuar teatralny powinien się składać ze sztuk różnych rodzajów, tak, jak różne są upodobania widzów. Każdy powinien znaleźć ulubiony przez się rodzaj.

P. Leon Papiński, działacz znany i prawnik, który rolę swą obrońcy pojmuje w całej jej głębi i szerokości, amator teatru i znawca sztuki dramatycznej, mówi nam:

— Należy grać w teatrach czasu wojny, oczywiście. Powiem nawet: przede wszystkim wtedy. Tak dyktuje sam rozum praktyczny, sama znajomość psychiki ludzkiej, skomplikowanej a przecież nietrudnej, w grubych rysach przynajmniej, do odczytania.

I przytacza nam argument, który jest przykładem.

Ale przykładem tak wymownym, że działa, niby wniosek logiczny:

— Wszak wiecie, że Anglicy stworzyli obecnie lotne trupy dramatyczne, niejako wojenne teatry. Te

trupy latają z miejsca na miejsce na samochodach, dojeżdżają na tyły armii, posuwają się, jak można najbliżej do okopów i w pierwszej-lepszej dachem nakrytej budzie dają przedstawienia, — zwykle pomiędzy jedną batalią a drugą, często podczas samej batalii, rozgrywającej się o dziesięć kilometrów. Jedni żołnierze się biją, inni wypoczywają, a wojenna administracja angielska jednakowo pieczołowicie dba o warunki boju pierwszych i warunki wypoczynku drugich; chce, aby ten wypoczynek był upodobniony do normalnego, zwykłego, w którym nietyłe bezczynność, ile zmiana wrażeń jest głównym czynnikiem odświeżającym. Podobnie i francuska administracja wojenna zezwoliła, czy nawet zachęciła słynnego poetę-piosenkarza, Bottrela, do śpiewania swego repertuaru tuż za pozycjami. Obecnie zapewne cała armia piosenkarzy służy armiom czynnym, w bardzo ludzki i bardzo użyteczny sposób — piosenką. Tembardziej grać należy w teatrach miasta, gdzie tak łatwo o przygnębienie i gdzie niema, na wygnanie go, uniesień heroicznych.

Ale co grać?

P. Papiński równie stanowczo odpowiada i na to pytanie:

— Byle nie specjalny repertuar! Byle nic aktualnego!

Przeciwnie:

— Repertuar zwykły, z wykluczeniem tylko dramatu i tragedii. Element dramatyczny znajduje się obecnie w nadobitości, przesycając sobą rzeczywistość. Komedia lekka, o ile tylko można, pełna pogodnych uśmiechów, oto, co mi się wydaje dziś najcenniejszym, najpożądniejszym na repertuarze teatrów warszawskich.

— A pozatem?

— Pozatem opera, farsa, operetka...

— Farsa? Operetka?...

— Tak, panie, — potwierdza stanowczym tonem p. Papiński — i farsa, i nawet operetka. Wesołość jest antidotum koniecznym na to wszystko, co do melancholii człowieka ciągnie. Lepszym lekarstwem jest na melancholię i jej smutne skutki działalność, akt, czyn, zapewne. Ale nie każdemu dano działać w czasach, kiedy życie zostało tak bardzo zredukowane, no, i zresztą, nie można działać jednym, nieprzerwanym ciągiem, jak działa strumień wodny.

Konkluzja naszej ankiety jest oto wyraźna i prosta. Teatr jest znakomitej użyteczności narzędziem życia narodowego. Należy tę jego użyteczność wyzyskiwać roztropnie, umiejętnie i w widokach wyższego a powszechniejszego zysku. A to również w czasie spokojnym, jak groźnym, w pogodzie pokoju i w burzy wojny.

Vivus.



Ulice w Lille są terenem zacieklých walk.

Niemiec w Brukseli.

W pięknej, bogatej i czcigodnej Brukseli plugawy niemiec siedzi, jak robak bezskrzydły i żarłoczny w bujnej róży; i śmieci ją, i gryzie i niszczy. Dwudziestego sierpnia wkroczyła na bulwar Anspacha (brukselskie Krakowskie Przedmieście) kawaleria niemiecka, witana trwożliwie w głębi każdego patrio-tycznego serca belgijskiego, przy-
mowana jednak na ulicach miasta z ciekawością zbytęcną przez tłumy, w których nie wszystko było gawie-
dzią. Wysunął się zaraz na pierwszy plan sympatyczny burmistrz brukselski, Adolf Max, człowiek pełen odwagi, rozważy i spokoju. Oczeki-
wał on Niemców pod miastem, na drodze, w bliskości cmentarza. „Was wünschen Sie?“, zapytał Maxa ofi-
cer, jadący na przodzie. Max pod-
niósł na niego spokojne oczy, a usta
jego się nie poruszyły. Wtedy ofi-
cer przypomniał sobie, że umie po
francusku, i w tym języku pytanie
swoje powtórzył. Max odpowiedział
z pełną uprzejmością, że liczy on na
cesarza niemieckiego, iż oszczędzo-
ny zostanie stolica Belgii pobyt
wojsk niemieckich. „Wasz cesarz
bawił u nas parę dni, jako gość;
przyjmowaliśmy go uprzejmie; był
zadowolony z gościnności naszej;
niech mi wolno będzie podać do nie-
go depeszę“. Podjechał wtedy do
Maxa generał Jakowski, syn albo
wnuk polskiego „perekińczyka“, i za-
pewnił, że depesza zostanie wysła-
na. Wyciągnął na to do Maxa rękę,
której ten, jak mówią, nie przyjął.
„Generale... daruj... w tych warun-
kach... ten gest przyjaźni“. Generał
Jakowski miał gdzieś, w zanadrzu
duszy, odrobinę wstydu, bo nie u-
niósł się, nie parsknął ani szyder-
stwem, ani złością, ani obelgą, tylko
bąknął: „Tak... hm... rozumiem pa-

na...“ I odjechał. Coś dziedzicznego
w tym momencie głos w nim pod-
niosło.

Na swoją depeszę nie otrzymał
Max żadnej, ma się rozumieć, odpo-
wiedzi. Tymczasem Niemcy pozaj-
mowali telegrafy i telefony, prawie
wszystkie drukarnie, gmachy rządo-
we i publiczne. Gubernator Belgii,
Goltz, usadowił się w gmachu mini-
steryum sztuk i nauk, zarząd nie-
miecki krajem w ministeryum wojny;
zabrano na biura i na koszary gmachy
sądowe; zawładnięto stacyami
kolei. W ratuszu pomieszczono
sztab; wokół królewskiego pałacu
roztawiono warty. Ale gmachy
szkolne pozostawiono dzieciom i
młodzieży; rok szkolny nawet
wcześniej się rozpoczął i w tych
strasznych czasach otoczono ten
wykielkowany posiew narodu bel-
gijskiego szczególną pieczołowito-



Burm. Brukseli, Max. Hr. Arnim, niem. komendant.

ścią; nietylko naukę tu podają uczy-
niom, ale i strawę gorącą.

Rozpoczęły się prędko porządki
nowe. Zabroniono zupełnie sprzeda-
ży wódek i likierów; kawiarnie i re-
stauracje kazano zamykać o dzie-
wiątej wieczorem; pismom pozwo-
lono wychodzić tylko pod uprzednią
cenzurą niemiecką; nie wolno też
było wydawać inaczej żadnej książ-
ki, żadnej broszurki, żadnego świst-
ka. Teatry mogłyby grać, — pod tym
samym warunkiem. Nie zechciały.
Kinematografy podobnie mogłyby
funkcjonować. Również nie podda-
ły się jarzmu. Z nadejściem wieczo-
ru, gwarna zawsze Bruksela pokry-
wała się gęstą żałobą, a na ulicach
słychać było tylko przemarsz pie-
choty, tentent koni, a zwłaszcza
wark niemieckich automobilów.

Ogłoszono urzędownie, iż „Bru-
ksela nie jest zamkniętą“. Przez
wszystkie rogatki można było swo-
bodnie wychodzić za miasto, — tyl-
ko wychodzić, ponieważ zabroniono
wogóle mieszkańcom jazdy na ro-
werach, motocyklach, tak tu rozpo-
wszechnionych, i automobilach. Kto
jednak pragnął zrobić spacer w stro-
nę obleżonej Antwerpii, albo prze-
znaczonej do zabrania Ostendy, mu-
siał uzyskać pozwolenie od kome-
danta. Płacili Niemcy za wszystko
gotówką, — z kieszeni belgijskiej.
Nałożono bowiem na Brukselę 50
milionów kontrybucyi, a na Braban-
cyę całą 450 milionów. Nie było,
przynajmniej narazie, grabieży,
wymuszeń, brutalstw nadmiernych;
akt gwałtu został dokonany ryczał-
tem, hurtowo, w formie układu, o-
patrzonego podpisem strony gwałco-
nej. Jestto niemiecka *legalność*. *Jest-
to pruski porządek*. Władza w imie-
niu państwa, w cieniu korony, doko-
nywa kradzieży na wielką skalę, we-
dług rachunku zimnego i z siłą wo-
jenną przy boku; nie maruderzy, nie
żołdactwo rozpasane, nie pijany
tłum ubagnetowany. W tym moral-
nym „obłędzie pełno jest metody“.

Z niemieckimi gubernatorami
miasta stanął do nierównej walki
Adolf Max. Była to dla Belgów po-
ciecha w nieszczęściu, że zna-
leźli wśród siebie tyle rzadką
rzecz: *człowieka*. Walkę prowadził
Max na słowa, na odezwy. Śmiało
przyjął na siebie odpowiedzialność,
czując, że ma za sobą naród mądry
i męski, który go w każdym jego
akcie będzie właściwie rozumiał, a
niewczesną krytyką, tembardziej
niegodnymi podejrzeniami ciężkiej
pracy jego psuć nie zechce.

Kiedy więc Niemcy żądali o-
próżnienia ratusza, burmistrz Bru-
kseli zdecydował:

— Opróżnić.

Kiedy Niemcy nałożyli na mia-
sto ciężką kontrybucyę, Max wydał
hasło:

— Zapłacić!

Kiedy Niemcy polecieli zdjąć z
gmachów brukselskich narodowe
chorągwie belgijskie, Max zawołał
do swych współobywateli:

— Zdjąć!

Ale kiedy dowiedział się o burmistrzowaniu niemieckiej oficerskiej hołoty po mieście, wydał odezwę, która głosiła:

— Cokolwiek władza niemiecka chce od mieszkańców miasta, może to czynić jedynie przez pośrednictwo władz municypalnych. Mnie winni jesteście posłuszeństwo. Nie macie ani obowiązku ani prawa spełniania poleceń pierwszego - lepszego niemieckiego oficera.

Oto w jak mądry i w jak zręczny sposób wyzyskał samą legalność niemiecką, tę legalność, która pozostawiła w całym kraju samorządne organy belgijskie, aby mieć w nich rozliczne ułatwienia i korzyści. Max przyjął tę rolę, o jednym tylko myśląc: aby ocalone, po klęsce wojennej i zmieceniu instytucji rządowych, organy samorządu obrócić dla dobra narodowego. Tak samo, jak Max, myślało i działało tysiąc merów belgijskich, żaden jednak nie myślał głębiej i nie działał świetniej od mera Brukseli.

Ten zakreślił sobie w myśli granicę ustępliwości; do niej szedł mężnie; a jeszcze mężniej stanął przy niej. Kiedy Goltz kazał ogłosić afiszami na kioskach i murach, że „rząd francuski zakomunikował burmistrzowi brukselskiemu, iż, własnymi pochłonięty niebezpieczeństwami, nie jest w stanie dać belgom żadnej pomocy“, Max odpowiedział na to niezwłocznie „nowym afiszem, w którym zawołał:

— To nieprawda!

Oto dosłowne zakończenie tej króciutkiej historycznej proklamacji, pięknej, jak wybuch heroizmu: „*L'oppose à cette affirmation le de menti le plus formel*“.

Skończyło się to narazie żartem: Niemcy pozaklejały białym papierem proklamacje Maxa, a Bruksela zrobiła dnia następnego dowcip:

— Co znaczy ta biała karta?

— Jest to przyszła mapa Niemiec.

Ale zapewne już tego dnia władze niemieckie postanowiły pozbyć się burmistrza, którego niebywale zręczne postępowanie budzi w ludności miasta tyle entuzjazmu. Max, w istocie, ustępował tam, gdzie Niemcy brutalną siłą wzięliby, co się im chce. A więc zajęliby ratusz, wydarliby kontrybucję, pozrywaliby z drzewców belgijskie flagi. Dalej — ani kroku. Człowiek ten umiał podnieść mężnie głowę wobec wroga. Jeżeli opór słabszego przeciwko silniejszemu jest naprawdę najpiękniejszym widowiskiem ludzkim i najszczytniejszym ludzkim aktem, to Belgia dała wiele takich spektakli i spełniła mnóstwo takich czynów.

Piekłą rolę odgrywa pod niemcem i duchowieństwo belgijskie. Jego wpływ na masy, oświecone i nieoświecone, jest tu ogromny. Wszakże to katolickie stronnictwo rządzi tym krajem, i to przeszło od



Z widoków Antwerpii.

lat trzydziestu. Wszakże to rząd, na niem oparty i z niego pochodzący, odrzucił niemieckie propozycje, wypowiedział Niemcom wojnę i cały kraj podniósł do czynów wiekopomych, które ze wszystkich szlacheńskich piersi świata wydarły okrzyk uwielbienia. Duchowieństwo prowadzi taktykę Maxa: doradza robić, co rząd nakazuje, ale żadnych kompromisów z obowiązkiem i sumieniem. Do katolickiego stronnictwa w Belgii jednak podnosi się tu pewien żal; zarzucają mu ludzie, że za mało dbało o rozwój sił militarnych kraju, że zbyt ślepo ufało mocy traktatów, gwarantujących neutralność Belgii; że dopiero w ostatnich czasach, zbyt późno, pomyślało o regularnej służbie wojskowej powszechnej. Niema w tej chwili w Belgii ani życia politycznego, ani starcia się stronnictw. Jednakże liberałowie, a trochę i socjaliści, myślą już o przyszłości, te żale i skargi rozwodząc nieraz głośno i z naciskiem.

Czy wpłynie to cokolwiek na inny układ gry politycznej w Belgii, wyzwolonej z pod jarzma niemieckiego? Nie bawmy się w prorocтва. Zanotujmy tylko, że oto nowy bohater

podniósł się w Belgii, i tym razem z samego centrum katolicyzmu. To prymas belgijski, Dezyderyusz Mercier, znakomity uczony, twórca nowego kierunku filozoficznego, t. zw. neoscholastycznego, świetny wychowawca, któremu nie mało zawdzięczają nasi polscy czołowi księża. Rektor katolickiej Akademii w Piotrogradzie, ks. Idzi Radziszewski, i ks. Szymański, redaktor „Ateneum Kapłańskiego“ — to jego wychowawcy. Jego odezwę wzniosłą znaćcie pewnie wszyscy. Raz jeszcze heroiczna Belgia zmusiła świat do podziwu.

Przy wrotach starożytnego pałacu arcybiskupiego w Malines Niemcy postawili straż. Prymas Belgii został tylko internowany. Postąpiono z nim łagodnie. Książę Kościół, kardynał, purpurat, ma za sobą w samych Niemczech połowę ludu, którego tem niebezpiecznej jest drażnić, że się przegrywa wojnę, tak głupio wywołaną. Max nie ma za sobą tej siły. Niemcy też postąpili z nim bez ceremonii; zaarrestowali go i uwięzili w fortecy śląskiej, w Kłodzku. Chcieli przytem obdrzeć go z uroku: nie uczyniono mu publicznie winy z żadnej męskiej jego proklamacji! Zarzucono mu tylko, że raty kontrybucyjne nie wpływały do kieszeni niemieckiej dość regularnie.

Naród belgijski zna przecież swoich przewodników. Motywy niemieckie są dla niego tylko przedmiotem ciekawości, a nie materyałem do wydawania sądów. W Maxie widzi on nie tylko bohatera, ale więcej jeszcze, narodowego męczennika.

Przygodny.

Bruksela w styczniu.

Odpowiedzi redakcyi.

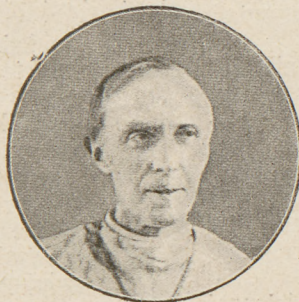
P. Janinie S. Biuro międzynarodowe o jeńcach w Genewie. Adresować po francusku.

P. R. L. Jankowski, Worobin. Obrazek zręczny; drukować go nie możemy, gdyż podobnych utworów mamy pełną tekę.

Na widowni — z tygodnia.



Admirał Sir DAVID BEATTY, dowódca eskadry angielskiej, która zatopiła krążownik niemiecki „Bluecher” i kilka innych okrętów uszkodziła.



Kardynał MERCIER, prymas Belgii, którego Niemcy uwięzili za list pasterski do narodu, w którym zaleca wierność królowi Albertowi.



Feldmarszałek POTIOREK, głównodowodzący zwyciężoną przez Serbów armią austriacką, został przeniesiony w stan spoczynku.



Ukryte fortyfikacje rosyjskie.



Fot. Saryusz Wolski.

Trofea wojenne.

Dyaryusz dni ostatnich.

Z wrażeń i rozmów.

Ostatnie dni stycznia.

...Do sejmu pruskiego wniesiono podobno projekt ustawy parcelacyjnej. Uniemożliwia ona nabywanie ziemi włościanom polskim. Cel jest jasny. Rząd pruski zdaje sobie sprawę, że chłop wielkopolski z rąk ziemi nie wypuści. Więc nie pozwala mu się jej kupować. Nie wolno będzie rozparcelować większej posiadłości ziemskiej, chyba między kolonistów niemieckich. Z jednej strony — wywłaszczenie, z drugiej — ograniczenie praw kupna.

Wyda mi się, że w tym akcie rządu pruskiego, — jeśli depesze niemieckie są ściśle, — tkwi pewna uczciwość. Nie próbuje wcale ukrywać swoich zamiarów. Wojna nie przeobraziła jego planów. Ostateczna germanizacja ziem polskich, doszczętne wykarczowanie z nich żywiołu polskiego, to — w przekonaniu prusactwa — misja dziejowa spadkobierców margrabiego Geron. Nie oszukują. Nie mamia. Mówią do nas otwarcie: — Chcemy was wygnać. Chcemy was wytępić.

Wolę szczerego wroga, niż fałszywych przyjaciół. Ale z wrogiem nieublaganym, bezwzględny, — trzeba walczyć do ostatniego tchu. Jakich uczuć doznają teraz ci polacy, którzy ludzili się nadzieją, że wojna zmieniła kierunek interesów pruskich, że polak od prusaka może się czegoś spodziewać!

Mamy prawo być wdzięczni rządowi pruskiemu za jego szczerść. Jeśli w nielicznych odłamach społeczeństwa polskiego mogły być pod tym względem pewne różnice

zdań, pewne wątpliwości. — teraz chyba ich nie będzie.

— Jak długo będzie trwała wojna? To pytanie trapi bezustannie większość naszych współobywateli. Kiedyż wrócimy do miłego, słodkiego życia normalnego?...

...Nie długotrwałej wojny, ale przedwczesnego pokoju polak obawiać się musi. Skutków srożących się na naszych ziemiach walk są okropne. Prawda. Setki wsi i miast spalonych, tysiące rodzin w żałobie, nieskończone straty i ofiary... Miałyby zostać bezowocnymi? Miałyby przedwczesny pokój zniszczyć nadzieje, które w tych ciężkich chwilach dodają otuchy i odwagi, sił i wytrwałości?...

Nowa książka stała się rzadkością. Podjęcie jakiegokolwiek wydawnictwa w czasie obecnym uważane jest w kołach księgarskich za lekkomyślny hazard. Mimo to nie waham się proponować naszym Hachette'om wydania książeczki, która „rozejdzie się” napewno.

W śródmieściu stolicy, co kilka domów nieomal, funkcjonuje jakieś „biuro obywatelskie”. Tu rozdają mąkę i kaszę, tam węgiel, tu obiady, tam herbatę z bułkami, odzież, naftę, lekarstwa i dobre rady; pożyczki i zapomogi. Nie mówię o giełdach

pracy, bo te wymyśliła złośliwość sytych burżujów.

„Ofiara wojny”, miejscowa czy przyjezdna, gubi się wprost w tym labiryncie dobroczynnym. I wciąż doznaje trwogi. — Jeszcze nie byłem tu!... Jeszcze nic nie dostałem tam... A może są jeszcze inne instytucje, które przedemną koledzy ukrywają?...

I oto wylania się paląca potrzeba wydania przewodnika dla niewstydzających się żebrac. Książeczka tania, w praktyczne wskazówki obfita, „rozeszłaby się” w wielu tysiącach egzemplarzy. Zaś, ułatwiając zabiegi, pozwoliłaby licznym bezdomnym poświęcić więcej czasu kinematografom.

Sk.

Z teatrów warszawskich.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Szlakiem Legionów”, dramat w 4-ach aktach H. L. Morstina.

Utwór wytwornego poety zniewoliłby sobie z pewnością w każdym czasie względy publiczności wdziękiem szczerem i niewymuszonym, ewokacją przeszłości górnej i chmurnej, sercu polskiemu zawsze drogiej. W dobie dzisiejszej znalazł oddźwięk znacznie silniejszy. Dziwnym zbiegiem okoliczności tkwią w nim motywy, które, jak przed stu zgórami laty, i w tej chwili, w ileż zmienionym niestety! kształcie! — dręczą nieszczęśliwą duszę polską. I wówczas, gdy mówiono o Polsce, ból chwycił za trzewia, szarpał męką niewysłowioną. Lecz niedawna, samoistna przeszłość, Wielki Sejm, — i inne wspomnienia — żyły w pamięci, w jedne pragnienia strojąc uczucia i myśli. Poryw był wielki, żywiołowy. a choć nadzieje



„Szlakiem legionów” H. Morstina w Teatrze Rozmaitości. Pp. Owerło, Śliwicki, Karpowicz, Szymański, Bol. Leszczyński, Hryniewicz, Wilczyński, Myszkiewicz, Szylinżanka.
Fot. W. Sztyblewski.

spełnić się nie miały, lot zwycięskich orłów był wzniosły i bohater-ski. Honor polaków był w dobrych rękach i oddawano go tylko Bogu.

A dziś?...

Nie czyńcie porównań! Nie k-lajcie przeszłości górnej i chmurnej analogiami, które duszę obejmują gęstą, gryzącą mgłą smutku, nieca-w umyśle o-brazy po-tworne, o-kropne, i jak po gorączce, zostawiają niesmak zja-dliwy. Czy tylko sto lat minęło? Nie więcej?...



Ludwik Hieronim Morstin.

Odpędźmy myśli natrętne i k-asające. Poddajmy się urokowi poezji pro-stej i niewymuszonej, która sprawia, że mimo braku wątku i wyrazu dramatycznego, mimo nazbyt jawnego naśladownictwa formy Wyspiańskiego, — „Szlakiem Legionów” wywiera wrażenie bardzo mi-łe, czaruje delikatnymi barwami, jedna autorowi sympatyę. Oczeki-wane mocniejsze słowo nie odzywa się; nie zjawia się spodziewany, po-tężny gest. Dramat o podkładzie na-rodowym rozplywa się we łzach oj-ca, który utracił syna, i łzach kobie-ty, która sprzeniewierzyła się swej

miłości. Wejście Dąbrowskiego ma być niejako symbolem, że troski i rozpacze osobiste muszą milknąć wobec interesów i spraw ojczyzny.

Wykonanie dramatu Morstina było nierówne. Pierwsze przedsta-wienie czyniło wrażenie jednej z o-statnich prób. Zauważyć też należy obecnie coraz częściej praktykowa-ną, zgoła niewłaściwą obsadę ról. Od artystów trudno jest żądać samokrytycyzmu. Falszywy apetyt na rolę jest ich powszechną słabością. Lecz reżyseria winna czuwać, by każda postać sztuki znalazła — w granicach możliwości — najodpowiedniejszego wykonawcę. Inne względy nie mogą być brane w rachubę. W sobotniej premierze na pierwszy plan wysu-nęła się p. Szylinżanka, której nie-pospolity talent coraz świetniejszym połyskuje blaskiem. Frenkiel stwo-rzył doskonałą figurę demokracji z końca XVIII-go wieku. Śliwiński święcił prawdziwy tryumf, jako sty-lowe paniątko z pod Blachy. Wil-czyński starannie opracował trudną rolę podkomorzego. Kawalski stwo-rzył plastyczną sylwetę starego szlachcica, czasów saskich pomnego. Dekoracje zasługują na uznanie.

Stef. Krz.

TEATR NOWOŚCI. „Flora-Bella”, ope-reta w trzech aktach D. Feliksa, muzyka K. Cuvillier’a.

Libretto, jak wiele innych. Muzyka tego samego poziomu. Lecz p. Messalów-

na ma rolę popisową, w której może czarować swych licznych wielbicieli roz-kosznym śpiewem i tańcem. Zaś p. Ludw. Śliwiński zyskał jeszcze jedną sposob-ność pochwalenia się pomysłowym talen-tem reżysem i bogactwem wystawy. Pp. Krzewiński, Redo i Szczawiński czy-nią nadludzkie wysiłki, by wykrzesać z błędnych ról trochę humoru. P. Chaveau budzi wesołość. Wierni bywalcy teatru Nowości mają tylko żal, że pozbawiono ich tym razem widoku innej ulubienicy tej sceny, p. Niewiarowskiej. Ale p. Nie-wiarowska studyje podobno „Nitouche”. Więc niebawem powetują sobie str-a-tę. Tymczasem przez długie wieczory oklaskiwać będą psotną Florę-Bellę.



Na marginesach krwawych dziejów.

Z nastrojów i rozmyślań.

Kozioł ofiarny.

Coraz widoczniejszem się staje, że cesarz Wilhelm byłby gotów z miłą chęcią przeznaczyć swej austriackiej so-jusznicze rolę kozła ofiarnego, gdyby tylko sprzymierzeńi jego przeciwnicy zgodzili się zaspokoić złożeniem tej ofia-ry na ołtarzu pokoju. Projekty, jakie po-jawiały się na łamach prasy amerykań-skiej, nie były z pewnością fantazyami domorosłych polityków, lecz dobrze o-płaconą przez rząd niemiecki próbą wy-sondowania opinii. Tak też oceniła je

niewątpliwie dyplomacya światowa, a przede wszystkim dyplomacya sojuszników.

Już z nieoficyalnych głosów prasy i polityków — wobec braku oficjalnej propozycji niema i oficjalnej odpowiedzi — mogły wywnioskować Niemcy, że przynęta, chytrze uczepiona u sondującej wędki, nie skusi nikogo z przeciwników. Wynik ten można było zresztą zgóry przewidzieć. To też psychologicznie bardziej od rezultatu interesujące są pewne momenty samego pomysłu niemieckiego.

Więc, po pierwsze: Czy i jak można pogodzić ofiarę kozła austriackiego z dumną dewizą niemiecką: „*Treu bis ins Grab*”? Wierność do grobowej deski zostałaby chyba mocno skompromitowana tem oddaniem sojusznika na łup? A jednak nie. Zobaczmy, do czego prowadzi ścisły, logiczny wywód. Wierność do grobowej deski znaczy: wierność aż do tej chwili, póki ktoś nie spocznie pod grobową deską. Że zaś Austria, podzielona, spoczęłaby w grobie, więc z tą samą chwilą wierność przestała by obowiązywać. Z zupełną więc słuszością, nie powołując się nawet na średniowiecznych scholastyków, powiedziałby cesarz Wilhelm: Towarzyszyłem wiernie memu sojusznikowi aż do grobu.

Powtóre: Czy i co myśleli dyplomaci i politycy austrowęgierscy, przeczytawszy sondujące projekty w prasie amerykańskiej? Wypada bowiem przypuścić, że je czytali. Wprawdzie wszystko, co czyta ogół austriacki, jest najściślej zrewidowane przez cenzurę, ale kierujący politycy, z prezesem gabinetu i ministrami na czele, są chyba wyjątkiem w tej regule i wolno im może czytać oryginały, nie zaś tylko przeróbki, dokonane *ad usum delphini* przez berlińskiego cenzora. A w takim razie, czyż nie odgadli źródła, z jakiego pomysł wyjął musiał?

Jak wiadomo, przysłowiowy kozioł rozstawił się w świecie przede wszystkim uporem. Z zacieklnością bije łbem o mur, nie zastanawiając się wcale, że go przebić nie może. Z uporem trwa w tej bezrozumnej, dla siebie samego jedynie szkodliwej igraszce, mimo wszelkie namowy i przestrógi rozważnego otoczenia. Taka jest już natura kozła.

Stąd też wynika, że właśnie kozioł, łatwiej, niż ktokolwiek inny, staje się kozłem ofiarnym. Po pierwsze, nikt się go o zgodę nie pyta; powtóre, zaślepiony uporem, nie baczy, że go prosto pod nóż prowadzą.

Czy polityka austriacka nie grzeszy przypadkiem podobnie uporem trwaniem w raz popełnionym błędzie, czy nie grzeszy zaślepieniem na niedaleki tragiczny los, związany z rolą ofiarnego kozła?

Ale kozły mają jeszcze jedno niemiłe dla najbliższego otoczenia przyzwyczajenie. Oto na chwilę przed otrzymaniem śmiertelnego ciosu uderzają czasem ostrym rogiem w kierownika, który dotąd wiódł je bezpiecznie i spokojnie na sznurku, tak że zwała się z nóg, zając się tego spodziewając. Zdaje się, że Berlin zapomina w swych rachubach o tej nawyeczce kozłów ofiarnych.

St. Sierosławski.



Odpowiedzialny redaktor-wydawca:
Czesław Podwiński.

Pomoc dla rannych w Wilnie.

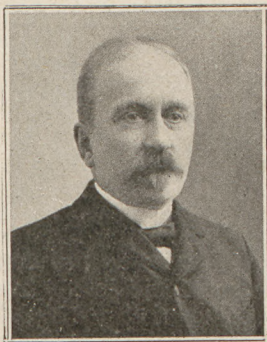
Fot. D. Szejderowicz.



Samarytanki z kursów praktycznych z lecznicy prywatnej d-ra Sumaroko w Wilnie.

Zgon zasłużonego lekarza.

Ś. p. Dr. Konrad Dobrski zmarł w Warszawie dn. 28 stycznia w 66 roku życia.



Skończywszy gimnazjum, rozpoczął studia na wydziale lekarskim w b. Szkole Głównej, a ukończył je na uniwersytecie warszawskim. Już w r. 1870 był czynnym jako lekarz Czerwonego Krzyża podczas wojny Francusko-Niemieckiej. Powróciwszy do Warszawy, poświęcił się poza praktyką lekarską, pilnie wszelkim sprawom społecznym ze specjalnością lekarską związanym. Był członkiem Warsz. Tow. Lekarskiego, Tow. „Przeźorność”, członkiem, a w końcu prezesem Tow. naukowego im. Mianowskiego i t. d. Jeszcze jako student zorganizował z kolegami wydawnictwa przekładów podręczników lekarskich z dziedziny patologii, terapii, chirurgii i położnictwa, a sam przekładał dzieła fizjologiczne Darwina i Vogt'a. W zmarłym ponosi wielką stratę nie tylko nauka lekarska, ale całe społeczeństwo, któremu służył ze wszystkich sił umysłu i gorąco sprawy ogółu czującego serca.

Ś. p. Marcyanna ze Stuczkajskich Kujawska,

żona przemysłowca naszego miasta, zmarła d. 25 stycznia r. b. Urodzona w Warszawie dnia 9 stycznia 1856 r. była godną obywatelką kraju, gorąco miłującą swój naród, kobietą pełną zalet serca i dobroci, cichą filantropką, ocierającą niejedną łzę niedoli ludzkiej. To też zgon jej okrył głęboką żałobą męża, dzieci, wnuki i rodzinę, jak również pozostawia po sobie szczery żal wśród przyjaciół i znajomych. Zwłoki ś. p. Kujawskiej spoczęły na cmentarzu powązkowskim. Cześć Jej pamięci.

9767

Ś. p. Jan Miechowicz,

współpracownik Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów, zmarł



dn. 31 stycznia 1915 r. po uporczywej walce z chorobą. Człowiek wszelkich zalet, a równocześnie cichy, prosty, niechętnie wysuwający się z cienia, był jednym z tych skromnych szeregowców życia, po których stracie gorący żal i długo niezapelniona pustka

dają dopiero poznać rzeczywistą wartość ich serca i charakteru. Przez ciąg swego krótkiego życia zdołał osiągnąć najdroższy skarb, — miłość i szacunek tych, którzy go znali i ocenić mogli i w których pamięci wspomnienie o nim zostanie na zawsze.

Ś. p. Joanna z Michalskich Januszowa Babińska,

żona handlowca, córka Stefana vice-



konsula Perskiego i Wandy z Biesiekierskich; po długich i ciężkich cierpieniach zasnęła w Bogu dnia 26 stycznia r. b. przeżywszy lat 18. Zmarła brała czynny udział w życiu instytucji filantropijnych naszego miasta, nie ograniczając się oficjalną dobroczynnością

niła dobrze wokół siebie. Joanna Babińska pozostawiła wśród przyjaciół i znajomych miłe i niezatarte wspomnienia. Niech jej ziemia Polska, którą tak kochała, lekka będzie.

9768